

168  
Spiewałem kolędy i byłem wzruszony • Woody Allen... z macą i piosenkami • „Kordian” w Teatrze Nowym; coś jakby nie wy-

**SAM** NIE MOGĘ UWIERZYĆ, że Kurier wkroczył już w dwudziesty rok życia na łamach P., ale to jednak najprawdziwsza prawda; faktów ukryć się nie da... Czy się zestarzał? Pewnie tak, niemniej stara się nie zaniedbywać swoich obowiązków; bywa tam, gdzie trzeba, nawet, jeśli musi w tym celu brnąć w mrozie i w zaspach, i robi, co trzeba, nawet, jeśli musi to robić z pewnym wyprzedzeniem. Bo weźmy na przykład kolędy. Wiadomo, że śpiewa się je dopiero od Wigilii, lecz jeśli parę dni wcześniej prosi o ich zaśpiewanie pan dyrektor Kord i sam w dodatku daje dobry przykład, nucąc wraz z chórem FN, to odmówić nie sposób. Nie pozwalała na to uroczą atmosfera, jaka panowała w sali Filharmonii Narodowej na koncercie, na którym najpierw Konstanty Andrzej Kulka z właściwą sobie maestrią złożył hołd pierwszemu dyrektorowi Filharmonii Warszawskiej, Emilowi Młynarskiemu, przypominając jego — zupełnie dziś nie grywany i nieznan — II Koncert skrzypcowy, potem Kazimierz Kord poprowadził VIII Symfonię Beethovena, no, a później, kolędy — w opracowaniu na chór i orkiestrę, dokonany niedawno przez Witolda Lutosławskiego.

Na estradzie świeciła dziesiątkami barwnych lampek prawdziwa choinka, śpiewanie rozpoczęła a capella zespół tradycyjnie, na ludowo ubranych koledników, wędrujących przez całą widownię z Jezusikiem, z gwiazdą betlejemską i bodając z turoniem (zespół okazał się być chórem Podstawowej Szkoły Muzycznej im. Młynarskiego) — kontynuował śpiewanie chór przy akompaniamencie Orkiestry FN, na koniec zaś, gdy owacyjne brawa domagały się bisów, Kord poprowadził ponownie „Gdy się Chrystus rodzi”, prosząc jednak, by teraz wraz z chórem śpiewała cała sala. I śpiewała! Ja też. I wpadliśmy wszyscy w znakomity humor, gdy dyrektor Kord złożył wszystkim słuchaczom — w imieniu zespołu i własnym — „najserdeczniejsze życzenia imieninowe”, zamiast świątecznych... Poprawił się wprawdzie szybko, przywołany do świątecznej rzeczywistości życzliwym rozbawieniem, ale radosny, pogodny nastrój, jaki ta pomyłka spotęgował, pozostał; był to jeden z piękniejszych, bardziej wzruszających wieczorów, jakie przeżywalismy ostatnio w FN. Myślę, że takie koncerty z kolędami, choinką i wspólnym śpiewaniem powinny stać się w Filharmonii starannie pielęgnowaną tradycją.

Tak, jak tradycją są już sylwestrowe premiery Adama Hanuszkiewicza. I wprawdzie tym razem wymyślił sylwestrowy spektakl nie w Ateneum, jak dotychczas, lecz w Teatrze Studio, niemniej publiczność i tutaj nie zawiodła, wypełniając salę już nie do ostatniego miejsca, lecz dosłownie do ostatniego skrawka podłogi... Co obejrzelismy? Sztukę Woody Allena „Zagraj to jeszcze raz” — znaną u nas dotychczas z prezentowanej przez TV wersji filmowej. Ani film zresztą, ani sztuka nie mogą w Polsce liczyć, tak przynajmniej sędzę, na równy oddźwięk co w Stanach, z tego prostego powodu, iż sytuacja życiowa nie pozwala nam na przesiadanie w gabinetach psychoanalityków i drobiazgowo analizowanie seksualnych problemów, jako że mamy jeszcze parę innych spraw na głowie, a także i dlatego, że nie istnieje u nas — w każdym razie nie w tak znacznym stopniu — kult Humphreya Bogarta (dobrze chociaż, że przypomnianio w TV „Casablankę”, młodszym widzom lepiej pozwoli to zrozumieć pewne odniesienia; mnie jej przypominać nie trzeba — gdy przed czterdziestu laty krążyła po naszych ekranach, obejrzałem ją w kinie bodaj jedenaście razy, czyli dokładnie tyle, ile bohater sztuki).

Wszystko to zresztą Adam Hanuszkiewicz wziął zapewne pod uwagę, przyrządzając tekst Woody Allena tak, by i dla Warszawy okazał się strawnym, czyli przede wszystkim wprowadzając mnóstwo piosenek — doskonale znanych evergreenów, od „Summertime” i „My Heart Belongs To Daddy” — aż po „New York, New York” w efektywnym finale. Zaczyna cały spektakl pięknym przebojem z „Gospody świątecznej”: „White Christmas”, który niedawno w TV pani Dziedzic z właściwą sobie niefrasobliwością zaliczyła do kolęd (!), a który Hanuszkiewicz z równą niefrasobliwością zaliczył... no, nie wiem do czego, w każdym razie śpiewające o „Białym Bożym Narodzeniu” panienki schodzą na widownię,

**NONA WARSZAWA**  
Rok XX. Nr 1 (195). Styczeń 1987.

i w rytm tej piosenki łamią się z publicznością... macą. Nowa tradycja łamania się w święta nie opłatkiem, lecz macą być może się przyjmie, ale chyba jednak na razie nie u wszystkich.

A potem? A potem jest zabawnie, jest doskonałe tempo, dowcipny dialog — choć na nasz gust i smak odrobinę drażliwy (broni go Hanuszkiewicz w programie, jako odważnie przełamujący bariery zatchłej, salonowej teatralności), są pomysłowo i dowcipnie rozwiązywane sytuacje, jest znakomita rola Gabrieli Kownackiej (wizualnie bardzo tu podobnej do Diany Keaton, która grała Lindę w filmie Woody Allena, jest wreszcie sympatyczny, pełen wdzięku, młodzieńczej spontaniczności i sporej siły komicznej Wojciech Malajka w głównej roli skompleksowanego intelektualisty, zafascynowanego Bogartem i opętanego seksem. Niestety, jeśli idzie o obsadę, to plusy przedstawienia kończą się na tych dwu rolach, bowiem nie wszystkie pozostałe dziewczęta są tak atrakcyjne, jak tutaj być powinny, co do pozostałych panów natomiast, to wręcz brak mi słów.

W sumie — czy to dobra robota? Obawiam się, że nie. W programie Hanuszkiewicz pisze bowiem o Woody Allenie, iż „to on kiedyś powiedział, że jeśli po jego filmie człowiek poczuje się bardziej bezradny i bardziej samotny — to dobrze, to znak, że zrobił dobrą robotę”. Otóż myślę, że z Teatru Studio nikt nie wychodzi „bezradny i samotny”, lecz raczej wychodzi z zazdrością, że ten Malajka to fajne ma życie: świetne mieszkanie, świetne drinki i płyty, świetne dziewczyny ładują mu się po kolei do łóżka, a on — choć wprawdzie trochę gamoniowaty, to przecież jednak wychodzi jakoś na swoje... Oczywiście, iż różnica wynika z innej osobowości Allena i Malajki, z innego stylu gry, ale chyba i z tego, że nie żyjemy w Nowym Jorku, że nie mamy czasu rozkładać się nad sobą, i że naszego życia nie możemy wyłącznie sprowadzać do spraw seksualnych, jak bywa to u Allena, choć i u nas te rzeczy mają swe znaczenie. Dla nas zatem jakby odpada ta rzecz, melancholijna otoczka spowijająca komizm całej sztuki, a zostaje sam komizm. Allan w „Zagraj to jeszcze raz” ma problemy? Wolne żarty! Kordian — ten dopiero miał o czym pomyśleć!

„Kordiana” Hanuszkiewicz wystawiał kiedyś na drabinie i — o ile dobrze pamiętam — również z piosenkami. Był to spektakl, delikatnie mówiąc, niezwykły, zaskakujący, może to zresztą w ogóle nie był „Kordian”, tylko wariancie na temat, tak czy inaczej był to spektakl, który pamięta się do dziś. Boję się natomiast, iż o „Kordianie” wyreżyserowanym przez Bohdana Cybulskiego w Teatrze Nowym zapomnimy dość szybko. Po raz drugi w ciągu paru lat Cybulski przygotował „Kordiana” w Warszawie (poprzednio w Teatrze Powszechnym) i po raz drugi dał przedstawienie bezbarwne, nużące, a tym razem również — jak się zdaje — trochę nieporadne aktorsko. Teatr Nowy ma ciekawą, atrakcyjną linię repertuarową, lecz realizuje ją w sposób nierówny — daje szereg premier godnych gorących braw (choćby ostatnio „Edward II” Marlowe’a), po czym znacznie obniża loty. Mam wrażenie, że wynika to w dużej mierze z ograniczonych możliwości obsadowych; Cybulski ma do dyspozycji niewielu aktorów zdolnych udźwignąć rolę wymagającą znacznie większych indywidualności.

**INDYWIDUALNOŚCI** zresztą w ogóle dziś trudno, toteż nic dziwnego, że w Filharmonii Narodowej toczono boje o bilety, byle tylko dostać się jakoś na koncert Yehudi Menuhina. Legendarny muzyk — niegdyś wspinały skrzypek, dziś przede wszystkim dyrygent — wystąpił z orkiestrą Sinfonia Varsovia, zorganizowaną w roku 1984 „na bazie” — jeśli można się tak brzydko wyrazić — Polskiej Orkiestry Kameralnej Maksymiuka, właśnie dla potrzeb... Menuhina, który przyjechał wówczas do Polski na koncerty po blisko 30-letniej nieobecności w naszym kraju. Stałym dyrygentem — szefem młodego zespołu —

szło... • „Dudek” został nestorem (polskiego kabaretu) • Co słychać u młodych (i to nie tylko duchem)?

przygotowaniem orkiestry, do której dojechał tylko na parę ostatnich prób, stałymi dyrygentami gościnnymi są Maksymiuk i Menuhin; koncert w Warszawie rozpoczął wielkie tournée zespołu, który obecnie — pod batutą Menuhina — występuje kolejno w Anglii, we Włoszech, w Belgii, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Program obejmował Koncert d-moll na dwoje skrzypiec Bacha (pierwszą partię solową grał koncertmistrz orkiestry, Jan Stanienka, drugą — Menuhin), Symfonię g-moll Mozarta, Koncert na orkiestrę smyczkową Grażyny Bacewiczówny i Symfonię włoską Mendelssohna. Można powiedzieć, iż same koncertowe bestsellery, lecz tym większa przyjemność, gdy dobrze znanej muzyki słucha się w znakomitej, wręcz brawurowej interpretacji; dobrze się zatem zaczął Nowy Rok w Filharmonii Narodowej — oby taki poziom koncertów (i taką frekwencję!) udało się utrzymać na stałe, a jeśli nie na stałe — to przynajmniej do końca tego jubileuszowego, 85 sezonu...

**FILHARMONIA NARODOWA MA 85 LAT**, czyli miała 15, gdy w Moskwie (tak jest, w Moskwie) urodził się Edward Dziewoński — cudowny aktor komediowy (ale nie tylko komediowy!) i kabaretowy, szef niezapomnianego „Dudka” (chodzą plotki, że „Dudek” będzie wznowiony, ale, jak na razie, to tylko są plotki), niezapomniany Kuszela z Kabaretu Starzych Panów... Dziewoński ukończył właśnie swą pierwszą siedemdziesiątkę, i z tej okazji odbyła się w gronie 90 najbliższych przyjaciół dostojnego jubilata imponująca — wyreżyserowana przez samego Dziewońskiego — uroczystość. Kochani, cóż się tam nie działo! Wiem, bo sam w tym wszystkim uczestniczyłem, mając zaszczyt być — obok rektora Łapickiego — „mistrzem ceremonii” uroczystych obchodów. „Panienkami wspomagającymi”, roznoszącymi napoje i desery były: Grażyna Barszczewska, Gabriela Kownacka, Halina Kunicka, Ewa Wiśniewska i Magda Zawadzka — czyli zestaw niezły, a „wykidajłą” — Krzysztof Kowalewski, ubrany w stosowną liberię. Przemówienia okolicznościowe — na poziomie kabaretu istotnie godnego Dziewońskiego! — wygłosili Andrzej Łapicki, Andrzej Szczepkowski i Wojciech Młynarski; były to małe arcydziełka pomysłowości, dowcipu, wdzięku i kultury — nic dodać, nic ująć, młodzież powinna się uczyć!

Ale, jak na razie, młodzież uczy się raczej Szekspira, a nie kabaretowych zabaw (i zapewne słusznie). W warszawskiej szkole teatralnej obejrzałem kolejne przedstawienie dyplomowe: Szekspirowskie „Stracone zachody miłości”, przygotowane przez Tadeusza Łomnickiego, przy współpracy Marii Bojarskiej. Przedstawienie zrobione tradycyjnie, lecz czyściutko, zgrabnie, z wdziękiem, dowcipem i paru bardzo obiecującymi rolami. Gdybym był dyrektorem teatru i przyszedł do PWST kompletować zespół, zaangażowałbym prawdopodobnie Andrzeja Staszczuka, który w roli Holofernesa błysnął sporą siłą komiczną i imponował doskonałą dykcją, Agnieszkę Pilażewską, umiejętnie oscylującą między godnością i szarmem Księżniczki francuskiej a jej dziewczęcym upodobaniem do żartów i flirtu, Jolantę Pieńkowską lub Beatę Walat (bo program nie podawał, która z nich tego dnia uroczono grała Cmę), a także Katarzynę Wziątek (damę dworu Księżniczki), jako że bardzo to dekoracyjna uroda...

Było tego wieczora na widowni PWST paru dyrektorów — ciekawe czy zdanie mieli do mego podobne? Mogli mieć, naturalnie, całkowicie odmienne, bo w tych „Straconych zachodach” jeszcze nie jeden z młodych aktorów zwracał uwagę niewątpliwymi zdolnościami, choć może jeszcze nie od razu na miarę Oliwiera. Poczekamy, zobaczymy — wszystko jeszcze przed nimi, jestem pewien, że ich nazwiska niejednemu raz będą wymieniane w Kurierze, byle tylko sam Kurier się utrzymał, czego sobie szczerze na Nowy Rok życzę...

**LUCJAN KYDRYŃSKI**